

TEATR

Witaminy w nowaliach

LEDWIEŚMY na tym miejscu próbowali zawstydzić warszawskie teatry, dając im za przykład gości z innych polskich miast, a tu z wczesną wiosną następuje w stołecznym asortymencie repertuarowym pewne ożywienie. Jeżeli nawet nie wszystkie z właśnie wchodzących na afisz spektakli upamiętnią się dłużej, to w każdym razie można mówić o nowalijkach z witaminami, które mogą oczyścić zęby krytyka ze złośliwego szkorbutu.

Oto bateria pięciu dostarczonych nam witamin:

Witamina S, czyli śmiechu, jest bardzo ważnym składnikiem. Niazawodnym, tradycyjnym surowcem tej witaminy jest Gogol. Teatr Narodowy gra „Rewizora”. Wszelakie inscenizacyjne pomysły nie zmieniają podstawowej myśli gogolowskiej, że śmiech jest czynnikiem pozytywnym i oczyszczającym, zwłaszcza gdy widzowie przyswoją sobie sens końcowych słów sztuki: „z kogo się śmiejecie?” i potrafią zaśmiać się także z siebie.

Po witaminę M, czyli młodość można wybrać się na Miodową na przedstawienia dyplomowe Wydziału Aktorskiego Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej. Popis przyszłych (oby!) gwiazd w kompozycji piosenek Wojciecha Młynarskiego (także nie starca!) „Bo takie mamy życie”, dobrze świadczy o zwróceniu uwagi na wokalistykę, a co za tym na dykcję nowego narybku. Piosenki zaś są tak zgrabne i zachejne, że również dają pole do rozoznania się w umiejętnościach interpretacyjnych tej młodzieży zarówno w niepodrabianej, a powściągliwej liryce, jak żywej komice.

MINA lata i zdarzy się nieraz konieczność zachowania młodzieńczej sprawności, ruchliwości, tudzież... naiwnej szczerości, jak np. w przypadku „Diabelstw” A. Fersena w Teatrze Dramatycznym. Ta składanka dość poczylnych obrazków na temat wieloonego zła i jego walki z dobrem, miesza substancje rodzime z importowanymi. Polska jest publiczność i artyści, polski język brzmi na scenie w postaci przekładu Halny Dobrowolskiej, będącej obok Mirosławy Krajewskiej oraz Barbary Horawianki i Barbary Klimkiewicz, jedną z głównych wspornic aktorskich przedstawienia. Polski jest wreszcie jeden z obrazków, „Rozmowa nędzy z diabłem”, dopisany dla naszej publiczności przez ową Halnę Dobrowolską. Włoski natomiast jest autor i reżyser w jednej osobie, który spróbował nadać grze szybkie tempo i śpiewność.

Nazwijmy to witaminą I, od włoskiej nazwy kraju — Italia. Teatr nasz niegdyś ulegający wpływowi

francuskim, ostatnio zaś niemieckim, bardzo potrzebuje tej witaminy. Obok wymienionych już pań, panowie J. Nowak, T. Bartosik, Z. Kęstowicz, F. Pleczka, J. Zelnik, W. Duriasz, H. Czyż, poddali się bez oporu tej kuracji, za co w nagrodę posłyszeli wraz z widzami na zakończenie sztuki piękny przejmujący śpiew Bożysławy Kapicy, nad heroiczną niedołą Hłoba. Całość nie pozbawiona akcentów pedagogicznych, nie szkodzi, że trochę infantylnych we wnioskach, nie mogła się uskarżać na poskapienie w inscenizacji efektów także rewliowych, co w składance nie jest dziwne.

NATOMIAST zastosowanie efektów rewliowych do inscenizacji Witkacego jest niespodzianką, jaką nam sprawił Jan Kulczyński, reżyserując „Bezmiennę dziecko” tego wielkiego ironisty w Teatrze Ludowym. Jak wiemy Witkacy nie gardził żadnym ze środków scenicznych, lecz nawykliśmy raczej do efektów kabaretowych, farsowych i buffo. Jest więc to rozszerzenie naszego spojrzenia na dramaturgię wielkiego prekursora współczesności, z tym, że łagodzi surowość jego wyroków na świat. Mamy więc tym razem witaminę W, czyli Witkacego, w dawce rozcieńczonej. Nie przeszkadza to oczywiście znakomitej kreacji Teresy Lipowskiej w roli karykaturalnej dziewczynki Zosi. Z liczonej i pracowitej obsady mlech mi wybierzają: dentelmani, że ograniczą się do wymienienia efektownych sylwetek stworzonych przez damy: B. Ryłską (Różę), J. Żygun (Klaudestynę), B. Marszałównę (Księżnę) i L. Łączyńską (Lidię).

W sumie nietrudno jest o życzliwość dla wymienionych spektakli. A już z najwyższym uznaniem trzeba się odnieść do „Punktu przecięcia” Claudela w Teatrze Współczesnym w tłumaczeniu Juliana Rogozińskiego, reżyserii Jerzego Kreczmarę, dekoracjach Jana Kosińskiego i kostiumach Barbary Jankowskiej.

Okilkanaście lat starszy od Witkacego Paul Claudel, przeżył go także o kilkanaście lat, jest mu więc niejako współczesny, a przecież skrajnie przeciwstawny, jako dostarczytel witaminy, którą oznaczmy jako P i od jego imienia i od pokory z jaką szukał prawdy o człowieku i świecie.

Jego głębia myślowa i dokładny rysunek psychologiczny postaci domagają się od inscenizatorów i wykonawców szczególnej odpowiedzialności. Znakomity przekład Rogozińskiego, uwzględniający bogactwo językowe autora oraz obdarzenie przezeń bohaterów różnymi zasobami pojęć i słów, daje pole do wirtuozerii scenicznej, w czym nie zawiodła i zachwyciła Halina Mikołajska w roli Isé, działającej jako kobieta na trzech partnerów, a na każdego różnie. Służebne tło dla jej wspaniałej gry stanowią Józef Fryźlewicz w roli ocleźtałego, nudnawego męża, człowieka niejasnych interesów, Marek Walczewski w roli pełnego biologicznych sił wilka morskiego i Jan Englert w roli niewydarzonego podróżnika po morzach, świecie i jego zawiakaniach. Choć sztuka trwa pełne 3 godziny, a w tekście wciąż mamy filozoficzne medytacje, ich zawartość treściowa oraz doskonała interpretacja Mikołajskiej i dostosowana do tego gra partnerów, sprawiają, że nie odczuwa się ani chwili przesytu, lecz raczej wycieńczenia, jeśli posłużyć się tytułem powieści Witkacego.